PRZYGODY KS. MARCINA LUBOMIRSKIEGO.

Według autentycznych źródeł

opowiedział

Władysław Chomętowski.

(*Dokańczenie*).

Wszyscy obecni słuchali z natężoną uwagą opowiadania Turskiego, okrzyk podziwienia i zgrozy z niejednéj wydobył się piersi, gospodarz i jego żona z widoczną niespokojnością oczekiwali końca powieści, ale najwięcéj okazywała się być wzruszoną córka ich ośmnastoletnia Brygida; z początku bladła i rumieniła się na przemiany, skoro zaś mówił kapitan o wyprawie i bitwie, twarz jéj śmiertelną pokryła się bladością, usta jéj posiniały i z konwulsyjnem ściągnęły się drżeniem, nakoniec usłyszawszy fatalne rozwiązanie dramatu, przechyliła się nagle z jękiem, jak wiotka roślina wiatrem złamana.... Gospodarz zerwał się pierwszy od stołu i pochwycił córkę w swe ramiona, matka z wyrazem głębokiej boleści załamała ręce, wszyscy powstali z trwogą i współczuciem spoglądając na omdlałą dziewicę. Wkrótce nadbiegły służebne i zaniosły do panieńskiego pokoju Brygidę, za którą udali się rodzice, wymawiając się nagłą słabością córki; przytomni zaś goście podzielili się na kilka kółek, w których toczyli rozmowy nie bez różnych komentarzy i domysłów; księżna Marcinowa rzekła do towarzyszącego jéj nieodstępnie kasztelana.



Przybyliśmy tu z rozkazu naszego szefa, dla przyaresztowania żołnierzy z załogi w. ks. mości,

— Biedna Brygida, jak ona kocha tego nieszczęśliwego Józefa!

— Wielka szkoda młodzieńca, bo powiadam ci księżno, że on mógł być ozdobą warszawskich salonów i wzorem dla swych rówienników.

— Niegodziwi Niemieryczowie! a ta okrutna ciotka, która dowodzi sama w téj zbójeckiej wyprawie przeciwko rodzonemu siostrzeńcowi!

Stolnik Szwejkowski usłyszawszy ostatnie wyrazy księżny, zbliżył się do niéj i rzekł: Imcipan kapitan Turski z wielką parcjalnością reprezentował całą tę sprawę; oczerniał najnielitościwiej Niemieryczów, siostrzeńca ich zaś Trypolskiego wystawił jako niewinną ich złości ofiarę, kiedy mam na to dowody, że ów młodzieniec nie jest wcale bez grzechu a popędliwością i prezumpcją swoją wywołał gniew i oburzenie krewnych, powątpiewam też, czy ów najazd podkomorzego z żoną nie jest przesadzony w opowiadaniu; tém więcéj, że sam imcipan Turski, jak to sam wyznaje, nie był naocznym świadkiem, a tylko powtarza co z obcych ust usłyszał.

Falkowski skarbnik łucki, dotychczas milczący i zamyślony, słysząc protestację Szwejkowskiego, odezwał się w te słowa:

— Wszystko, co opowiadał imcipan Turski, jest niezawodną prawdą, znam dobrze cały ród Niemieryczów i ich siostrzeńca śp. Józefa Trypolskiego; nie pochwalam wcale zagranicznego wychowania, bo znane mi są szkodliwe doktryny, które przynosi ztamtąd nasza płocha i nierozważna młodzież, nie przeczę, że siostrzeniec Niemieryczów, jak wielu innych dzisiejszych młokosów, mógł nasiąknąć maksymami ze szkoły bezbożnika i libertyna Woltera,... Ale pytam się, kto przykazał imcipanu Niemieryczowi wysłać siostrzeńca swego na edukację do Paryża? jeżeli imcipan Trypolski szkodliwe za granicą poczerpnął maksymy, głównie opiekuna o to obwiniać należy. Nie wdaję się zresztą w rozbiór kwestji edukacji młodego Józefa, widzę bowiem dokumentnie, że w każdym razie opiekun zawinił w téj sprawie, nie chcąc oddać własności pełnoletniemu siostrzeńcowi, co sprzeciwia się wyraźnie prawu, cała zaś tragedja tego najazdu jak jest bezbożna i dzika, to każdy pojmie łacno i zastanawiać się nie potrzebuję nad tém. Widzę w tém wszystkiem rękę szatana, który uwziąwszy się na zgubę naszą, bluźni przeciwko świętościom, gwałci obrzędy kościoła, chce sponiewierać świętą religję, słowem widzę w tém rękę niegodnego ateusza, Henryka Niemierycza, który jak szatan niegdyś Ewę, namówił *koligatkę* swoją do tak jadowitéj rezolucji, ona też wyperswadowała wszystkie skrupuły mężowi, który stał się powolny jak dziecko i uległ téj pokusie.

— Ogłaszam też przed wami waszmość panowie bracia, rzekł Falkowski zwracając się do obecnych: jako rzeczony dopiero Henryk Niemierycz, jest jednym z najgorliwszych apostołów bezbożności i pychy, którzy u nas więcéj zasiali niegodziwości i złego; niż język ludzki wypowiedziéć jest w stanie, według słów owych łacińskiego poety.

Non mihi si linquae centum sint oraque centum,
Ferrea vox, omnes scelerum comprendere formas,
Omnia poenarum percurrere nomina possim.

Tak jest, waszmość panowie bracia, bezbożnicy owi nietylko w przewrotnem słowie i pismach nastają na zgubę naszéj religji, ale profanują już nawet kościoły, jako ów Henryk Niemierycz, którego okrutnego czynu sam byłem świadkiem. W dniu uroczystym dla każdego katolickiego serca, w święto Oczyszczenia Najświętszéj Marji Panny, któréj czci zaprzysięgłym jestem obrońcą, ów niegodny ateusz, naigrawał się publicznie nad Przenajświętszym Sakramentem Ołtarza.... Świadczę się ziemią i niebem, że nie z żadnéj prywaty i zemsty, ale jedynie z pieczołowitości o chwałę Bożą i cześć naszéj religji, złożyłem manifest w grodzie Łuckim i zapozwałem Niemierycza. Przed wami więc bracia, protestuję jeszcze solennie przeciwko każdéj zniewadze publicznéj naszéj wspólnéj matki, świętego kościoła, którego cześć wyssałem z mlekiem, którego miłość poniosę do grobu, więc przysięgam na rany ukrzyżowanego Boga, że bronić będę wielkiego Jego imienia, że położę na jego ołtarzu fortunę moją, a nawet głowę, jeżeli życie wypadnie ponieść w ofierze.

Kiedy tę przysięgę wymawiał skarbnik, twarz jego gorzała łuną niebieskiego światła, wzniesione oczy w górę jaśniały łzami boleści i zachwytu... Wszyscy obecni, nawet zwolennicy nowéj filozoficznej szkoły, jak kasztelan Buski i inni starsi lub młodsi latami, skupili się do koła i spoglądali na niego z wyrazem poszanowania; po skończonéj przemowie nastała uroczysta cisza, któréj nikt z razu nie śmiał przerwać, pod wpływem świeżego a silnego wrażenia.

Skoro skarbnik Łucki usunął się z kapitanem Turskim na stronę, towarzystwo podzieliło się znów na kółka, księżna Honorata wziąwszy pod rękę młodą panią Wąsowiczowę, rozmawiała z nią o fatalnej przygodzie panny starościanki, która uczuła tak gwałtownie wiadomość o śmierci Józefa Trypolskiego. Wojewoda Kijowski zasiadł w rogu komnaty z kasztelanem Buskim i wiódł z nim następującą rozmowę:

— Ręczam cię kasztelanie, że pokonam upór księcia Marcina i zmuszę go do zgodzenia się na rozwód, jeżeli nie upokorzy się i nie wejdzie ze mną w dobrowolne układy, nie przestanę go ścigać z całą surowością prawa; trzy procesa wytoczyłem mu w Trybunale Lubelskim, jeden o najazdy i grabieże jego żołnierzy; dwa inne dotyczą się zaciągniętych przez niego długów, pierwszy już jest ukończony, skoro powrócę do Łabunia, poślę wojsko do Lubaru z rozkazem przyaresztowania i wyprowadzenia wszystkich jego żołnierzy musi mi nadto zwrócić koszta procesu jako

téż wynagrodzić liczne straty poszkodowanych osób.

— Słyszałem w czasie mojéj bytności w Warszawie, że książe Marcin odstępuje swego prawa do dyrekcji teatru i widowisk i że ma na zawsze wyjechać z kraju.

— Tem lepiéj dla mnie, bo w takim razie niezawodnie zechce oswobodzić się z procesów i wejdzie w dobrowolne układy; dawno już pisałem do niego, że nie pragnę jego krzywdy, owszem zgodzę się chętnie na wszelkie możebne ustępstwa, byleby tylko nie upierał się dłużéj i nie przeszkadzał w sprawie rozwodu....

Rozmowę wojewody z kasztelanem przerwało wejście gospodarza, który pochmurny i zamyślony wrócił z pokoju Brygidy. Widok głębokiego smutku starosty wpłynął jak najgorzéj na usposobienie gości, niektórzy z bliższych jego przyjaciół okrążyli go i wypytywali o zdrowie córki, która odzyskała wprawdzie przytomność, ale z powodu silnéj gorączki ciężką zagrożona była chorobą. Kiedy posłano po lekarza, goście przerażeni niespodziewanym wypadkiem, zniechęceni do zabawy widokiem zafrasowanego starosty, rozjeżdżali się do domów. Tak niepomyślnie zakończyła się uroczystość imienin starosty Cudnowskiego.

W zakończeniu opisu rzeczonych wypadków musiemy dodać, że Józef Trypolski był towarzyszem młodości panny Brygidy, któréj rodzice wiedzieli o wzajemnej ich skłonności, nie sądzili jednak, ażeby miłość dziecinna, zawiązana jeszcze przed wyjazdem młodzieńca za granicę, mogła tak silném ozwać się uczuciem tém więcéj, że po kilku latach rozłączenia i po powrocie do kraju, raz tylko jeden nieszczęśliwa ich córka widziała się z dawnym oblubieńcem, w domu jego opiekunów. Smutne było zakończenie tego dramatu; panna starościanka długą i ciężką złożona była niemocą, a chociaż późniéj odzyskała w części utracone siły, dotknięta została czarną melancholią, która według zdania lekarzy nie była do wyleczenia.

XXXVII.

W ostatnich dniach miesiąca Lipca, książe Marcin mieszkał jeszcze w Lubarze; dwór jego obecnie był bardzo szczupły, znany nam chorąży Trębalski był zarazem marszałkiem i dowódzcą nadwornej straży, nakoniec dwóch kamerdynerów i czterech hajduków składało całą usługę księcia. Pałac w Lubarze był smutny i opuszczony, od czasu przyjazdu gospodarza, to jest od trzech miesięcy jeden gość tylko zawitał w te progi, wszyscy bowiem przyjaciele odstąpili zupełnie ks. Marcina, ci zaś, którzy mieli z nim interesa lub ściślejsze stosunki, jak Poniński lub Stempkowski, otwartą dziś prowadzili walkę. Poznał książe Marcin usłużnych a fałszywych przyjaciół, którzy w lepszéj dlań epoce, schlebiali jego namiętnościom i dumie, przewidując zaś zupełną ruinę fortuny, zaparli się dawnego protektora i sprzymierzeńca, jakotéż unikali jego wzroku. Dziwnym jednak zrządzeniem losu, znalazł się w sąsiedztwie Lubaru dawny znajomy księcia, który z otwartemi rękami powitał powracającego do dóbr swych dziedzica, a bez żadnego interesu, jedynie tylko z uczucia nie wygasłéj wdzięczności, ofiarował mu swą usługę lub pomoc, o ile takowej potrzebować będzie. Owym dawnym znajomym ks. Marcina, był Jan Hryniewicki, syn podstarościego w dobrach miecznika w. k., ten sam niespokojny niegdyś i gwałtowny młodzieniec, który z narażeniem życia chciał oswobodzić z więzienia dawnego dobroczyńcę swego, ten sam, którego później widzieliśmy w Eperies i w Hermansztadzie, w usługach ks. Karola Radziwiłła *panie kochanku*. Jan Hryniewicki przez długi przeciąg czasu, bo przez lat dwadzieścia znajdował się w usługach ks. Radziwiłła, towarzyszył mu w licznych podróżach i na wygnaniu, nakoniec ożenił się i zamieszkał w jego dobrach, ale utraciwszy przed dwoma laty ukochaną małżonkę, zapragnął odwiedzić rodzinne strony i w nich przepędzić ostatek życia. Ks. Marcin gościł jeszcze za granicą, kiedy jego dawny sługa przybył w okolice Lubaru i osiadł w zadzierżawionym majątku, wielkie więc było jego zdziwienie, skoro jak senne zjawisko stanął przed nim w Lubarze, towarzysz młodości, którego nie widział od lat przeszło dwudziestu i żadnéj o nim nieodbierał wieści.

W piękny dzień letni, około godziny 3ej po południu, na balkonie, w pałacu Lubarskim, siedział gospodarz domu z gościem, żywą zajęty rozmową. Książe Marcin i jego towarzysz w równym byli wieku, jak jeden tak drugi liczył około lat pięćdziesięciu, twarz pierwszego była jeszcze piękna, ale blada i zasępiona, kiedy przeciwnie Jan Hryniewicki miał policzki rumiane, oczy pełne ognia i życia, pomimo że jego włos czarny nieco był przypruszony siwizną, łatwo w nim poznać było można tegoż samego młodzieńca, który przed dwudziestu kilku laty wykonał zamach tak odważny i szalony, w celu oswobodzenia młodego pana i dobroczyńcy. Przedmiotem ich rozmowy były dawne czasy i wspomnienia doznanych przygód; dziwne i różne były ich losy, chociaż młodość nierozważna i burzliwa jak jednego tak drugiego była udziałem.... tam wszystko było im wspólne, późniéj zaś zupełnie inną obrali drogę. Ks. Marcin z duszą wrażliwą i namiętną zmieniał często swą barwę, aż w końcu utonął w szale zbytków i zabawy, bo umysł jego lekkomyślny i płochy pożądał ciągle odmiany losu, igrał z uczuciem jak z fortuną, któréj wszystkie rozproszył zasoby. Towarzysz lat dziecinnych księcia pozostawał zawsze w charakterze wiernego sługi, przywiązawszy się całą duszą do nowego pana, znaczną część życia strawił w jego usługach, z ręką stworzoną do karabeli, potykał się dzielnie w szeregach kon-

federackich, a raz zamiłowawszy życie czynu i walki, nawet w czasie długiego pokoju zachował pierwotny hart młodości, ćwiczył się zawsze w dawnem rzemiośle, bądź w rycerskich popisach lub też na łowach, w których słynął jako zawołany myśliwy, przy Nieświeżskim dworze.

Główną treścią rozmowy ks. Marcina z Janem Hryniewickim były wspólne im duchem przygody ich młodości, wspomnienia dworu ks. miecznika w. k., więzienia w Białymstoku, daléj szczegóły z pobytu za granicą, nakoniec wypadki z konfederacji Barskiej, w któréj pierwszy przeważny, drugi, podrzędny miał udział; ale pamięć tych przygód tak wryła się w ich sercu, że nie mogli ich powtarzać bez rozrzewnienia, a nawet oko ks. Marcina nieraz łzą zabiegło.

Serdeczną i żywą rozmowę gospodarza i gościa przerwał nagły zgiełk i rozruch w pałacowym dziedzińcu; kilku z żołnierzy nadwornych i hajducy księcia biegali tam i napowrót, wołali urywanym głosem: „więcéj niż trzystu ludzi.... walą się ku staremu i nowemu miastu.... pułkownik Dederkala.... major Wielowiejski.... gdzie nasz chorąży?... trzeba zawiadomić natychmiast księcia!

Ostatnie słowa wykrzyknął jeden z żołnierzy i wbiegł do pałacu, ale wkrótce ukazał się znów na dziedzińcu z chorążym Trębalskim, który wołał z całego gardła: „zamknąć i zatarasować bramę!“ następnie wrócił pospiesznie i z wyrazem pomieszania na twarzy, stawił się na balkonie, przed szefem.

— Wielka na nas wali się burza jo. książe! Dederkala pułkownik z Łabunia wszedł już do miasta na czele dwustu uzbrojonych żołnierzy... Toż i major Wielowiejski ciągnie z kilku działami od strony Cudnowa. Pułkownik rozgłasza w mieście, że z rozkazu wojewody Stempkowskiego przybył do Lubaru, ażeby zmusić cię jo. książe do wydania mu wszystkich żołnierzy....

Gospodarz zasępił się i zamyślił głęboko, odebrawszy tak niepomyślną i niespodziewaną wiadomość; po chwili zwrócił się do gościa i rzekł:

— Jak wacpan myślisz, cóż czynić mi wypada w tak niefortunnym wypadku?

— Jeżeli pułkownik nie kłamie i myśli siłą poprzeć swe żądanie, musisz mu w. ks. m. oddać żołnierzy, lub przygotować się do obrony i bitwy.

— Ależ na Boga! mości poruczniku! zawołał chorąży Trębalski, kilka dział mają i przeszło trzystu ludzi, obrócą pałac w perzynę a nas zatracą jak muchy, cały nasz garnizon nie więcéj jak trzydziestu liczy.

— Prawda, dziesięciu na jednego to za wiele, ale cóż robić, trzeba spróbować azali się nie uda im zaimponować odwagą; radziłbym więc postawić przed bramą uzbrojonych rusznicami żołnierzy, ja sam gotów jestem stanąć na ich czele, w obronie honoru w. ks. m.

— Dziękuję wacpanu serdecznie, za ten nowy dowód jego przyjacielskiego affektu, rzekł ks. Marcin drżącym głosem, ściskając dłoń Hryniewickiego, ale nie mogę przyjąć jego propozycji, bo sam muszę stanąć na moich podwładnych czele, jeżeli okażą dość odwagi i serca do stoczenia boju...., powątpiewam jednak mocno o animuszu mych żołnierzy, skoro imcipan Trębalski ich chorąży protestuje już przeciwko wszelkiej podobnej *imprezie*.

— Zginiesz sam niewątpliwie i my wszyscy wraz z tobą jo. książe! nie byłem nigdy podłym tchórzem i rąbałem się już nieraz i nie dziesięć razy w mem życiu, ale z przeproszeniem w. ks. mości i imcipana porucznika ośmielę się powiedzieć, że szaleństwem jest na nieochybną zgubę narażać życie, kiedy można użyć z nieprzyjacielem wcale innego fortelu, który właśnie przyszedł mi do głowy, a jest arcydoskonały i przedziwny, bo salwuje życie nasze i honor w. ks. m.

— Ciekawy jestem, jaki to tak przedziwny fortel powstał w wacpana głowie? rzekł ruszając ramionami ks. Marcin.

— Pułkownik Dederkala oświadczył wyraźnie, że ma rozkaz przytrzymania żołnierzy w. ks. m. i odstawienia do Łabunia, z naszym zaś, to jest z w. ks. m. honorem nie zgadza się wcale, ażeby ten imcipan pułkownik aresztował jego żołnierzy a może powiązał jak baranów i tak odesłał do wojewody. Otóż łatwy wynalazłem sposób dla uniknienia rzeczonego afrontu; jak wiadomo w. ks. m., w rogu dziedzińca i pałacu jest skryte wejście do podziemnego lochu, w którym nietylko trzydziestu ale trzystu i więcéj ludzi ukryć się może wybornie, tam więc udam się z całą moją komendą, a ręczam, że żaden z tych panów, chociażby z piekła był rodem, nie wyśledzi naszej kryjówki.

— Co wacpan powiesz na to? rzekł książe odwracając się do Hryniewickiego, zdaje mi się że wcale niezły pomysł, ale trzeba wykonać go pośpiesznie, bo skoro nieprzyjaciel nadejdzie, zmusi nas niewątpliwie do otworzenia bramy natychmiast.

— Dobry a nadewszystko bezpieczny jest pomysł chorążego, odrzekł wstając z krzesła Jan Hryniewicki, po chwili zaś rzuciwszy okiem z balkonu ku drodze wiodącéj do Lubaru z Cudnowa, dodał: otóż widzę już oddział złożony ze stu ludzi, wydostali się na grzbiet wzgórza i zmierzają wprost ku pałacowi, kilka dział postępuje za niemi, dowódzcą ich jest zapewne ten major Wielowiejski, o którym pan chorąży wspominał przed chwilą. Niema ani jednéj chwili do stracenia, radzę wacpanu,“ mówił daléj Hryniewicki zwracając się do Trębalskiego „natychmiast wyprowadzić komendę i ukryć się z nią w onym lochu.

— Tak jest, bież wacpan czemprędzéj do żołnierzy i prowadź ich tam; my zaś rozmówiemy się z temi panami, wyjdziemy na ich

spotkanie i roztworzymy im bramy. Rzekł ks. Marcin do chorążego.

— Wszystkich zbrojnych zabiorę i uprowadzę z sobą, zostawię tylko na posługi w. ks. m. dwóch trębaczów i dwóch doboszów, których jako pospolitych muzykantów a wcale nie rycerskich ludzi, pewno pozostawią w spokoju, ani też o nich pretendować nie będą.

— Dobrze, zrób wacpan jak mówisz, a zbierz ludzi i wyprowadzaj żwawo.

Chorąży pobiegł spiesznie po rzeczonej rozmowie, zwołał rozproszonych żołnierzy, a ściągnąwszy ich z różnych kątów pałacu i zabudowań dworskich, przedstawił im plan swój jako jedyny środek ratunku; następnie wydał rozporządzenia pozostałéj służbie, a doboszom i trębaczom polecił czatować w stajni, na straży książęcych koni.

Zaledwie zdążył wykonać chorąży odwrót z żołnierzami i ukryć się z niemi w bezpiecznym lochu, rozległ się głos trąby i szczęk broni za bramą, wkrótce zaś potém, dało się słyszeć kilka wystrzałów, z rozkazu zapewne niecierpliwego dowódzcy, który oznajmił tym sygnałem, że nie myśli żartować wcale, skoro nie roztworzą mu natychmiast zamkniętéj bramy.

Ks. Marcin wyszedł z pałacu wraz z Hryniewickim i rozkazał hajdukom otworzyć bramę.

— Wyjdziemy na ich spotkanie i zapytamy o przyczynę tego najazdu, rzekł książe zwracając się do towarzysza.

— Sądzę, że wypada rozmówić się z dowódzcą, który zapewne czatuje już u bramy, ale może pozwolisz książe że cię wyręczę i sam do nich wyjdę....

— Nie, muszę sam pokazać się im koniecznie, inaczej pomyśleliby niezawodnie że stchórzyłem na widok tego groźnego najazdu, a rozzuchwaleni moją bojaźnią, mogliby dopuścić się grabieży, lub jakiego gwałtu. Pokażę im, że Marcin Lubomirski ma przytomność i odwagę, ceni swój honor i takowego bronić jest gotów.

Kiedy tak rozmawiał książe ze swym towarzyszem, hajducy roztworzyli przed niemi bramę, najprzód więc ks. Marcin, a za nim Hryniewicki wyszli na spotkanie majora, który już stał na moście, na czele zbrojnego oddziału, kiedy z drugiej strony pałacu wznosił się obłok kurzu, w którym nadciągał drugi, nierównie liczniejszy hufiec, pod dowództwem pułkownika wysłanego z Łabunia.

Major Wielowiejski zbliżył się do księcia i rzekł:

— Przybyliśmy tu z rozkazu naszego szefa, dla przyaresztowania żołnierzy z załogi w. ks. mości, którzy mają być odstawieni do Łabunia.

— Naprózno podjąłeś wacpan trud téj wyprawy; żołnierzy moich nie ma w domu, prócz doboszów, hajduków i zwyczajnej służby dworskiéj, nie znajdziecie tutaj nikogo, któremu by przystało miano żołnierza.

— W ordynansie, który odebrałem od mojego szefa, powiedziano jest wyraźnie, że trzydziestu żołnierzy znajduje się pod komendą w. ks. m. w Lubarze. Imcipan pułkownik z Łabunia czynił już poszukiwania w mieście, ja też z kolegą moim kapitanem Petrykowskim poszedłem i zrewidowałem okoliczne wioski, skoro zaś nie znalazłem śladu stopy żołnierskiej, wnoszę, że niewątpliwie muszą być ukryci w pałacu lub w zabudowaniach dworskich; upraszam więc o wydanie tych ludzi, a nie będziemy utrudzać poszukiwaniami w. ks. mości.

— Szukaj wacpan, pozwalam, bo do odparcia waszego najazdu, nie mam dostatecznej siły, jednak nie myślę wydawać moich ludzi wcale, ani też tłumaczyć się wacpanu, gdzie żołnierze znajdują się obecnie; sam jestem ich szefem i nikt ich odbierać odemnie nie ma prawa. Wyznaję, że nie spodziewałem się tak wielkiego afrontu, więc jako nieprzygotowany do obrony, kazałem otworzyć wam bramę, choć powtarzam raz jeszcze, że protestuję najsolenniej przeciwko temu gwałtownemu najazdowi, wzywam zaś wacpana, ażebyś za to późniéj rozprawił się ze mną, jeżeli nosisz na sobie charakter uczciwego szlachcica i żołnierza.

— Owszem, nie odmówię w.ks. m. tej satysfakcji, jakkolwiek działam tutaj w imieniu mojego szefa i spełniam tylko powinność.

To powiedziawszy major Wielowiejski skinął na swych żołnierzy, ażeby udali się za nim, w celu rzeczonego poszukiwania, kiedy ks. Marcin wrócił wraz z Hryniewieckim do pałacu, a zasiadłszy na dawnem miejscu na balkonie, przypatrywał się spokojnie, jak ci niespodziewani i niemili goście zalegli w liczbie kilkudziesięciu obszerne podwórze, następnie rozpierzchli się w różne strony i szukali nadwornych żołnierzy. Major udał się najprzód do stajni, gdzie spotkał potrwożonych trębaczów i doboszy, z których jednego wziął na stronę i rozpoczął następującą indagację:

— Jak się nazywasz bracie?

— Bazyli Karpenko, j. w. majorze.

— Co robisz w téj stajni?

— Pilnuję wraz z innemi koni j. ks. mości z rozkazu pana chorążego.

— Jesteś doboszem?

— Tak jest.

— Kiedy jesteś doboszem, powinieneś wiedzieć, gdzie znajdują się żołnierze księcia i ich chorąży?

— Nie wiem jw. majorze; bo imcipan chorąży zabrał z sobą żołnierzy, nam zaś rozkazał siedzieć w stajni i pilnować koni jego ks. mości.

— Słuchaj Karpenko, nie oszukuj mię łotrze, nie może być abyś nie wiedział gdzie ukrył się chorąży wraz z żołnierzami.

— Nie wiem jw. majorze.

— Kłamiesz łotrze! jak dawno wysłał cię tu chorąży.

— Niedawno, przed godziną jw. majorze.

— Musisz więc wiedzieć gdzie się znajduje, bo przecież nie wpadł wraz z żołnierzami w ziemię, ani téż djabli nie wzięli ich tak prędko.

— A kto ich tam wie jw. majorze, jestem doboszem i słucham imcipana chorążego rozkazów, zwołał nas i postawił w stajni, nie opowiadał się zaś nam wcale dokąd ma udać się z żołnierzami, jeżeli ich nie ma w pałacu, pewnie ich jo. książę gdzie posłał, ale zkąd my biedni dobosze wiedzieć o tém możemy?

— Mądry jesteś Karpenko i myślisz że wykręcisz mi się tak łacno, ale uprzedzam cię bracie, że z rąk mych nie wypuszczę cię prędko, skoro zaś pomaszerujesz ze mną do Łabunia, wszystko tam jak przed księdzem wygadać musisz, bo sposób znajdziemy na to, przedemną i przed wojewodą żadnego nie utaisz sekretu, chociażbyś go zachował na dnie twojej duszy.

W téj chwili powrócili niektórzy żołnierze i zeznali przed majorem, że szukali w różnych stronach pałacu, ale nigdzie nie dostrzegli miejsca, w którym by mogła ukryć się załoga Major badał jeszcze innych muzykantów, groził im gniewem wojewody i surową karą w Łabuniu, ale żadnego nie mógł wydobyć zeznania; jeden tylko wprawdzie Karpenko wiedział o tajemniczem wejściu do podziemnego lochu i domyślał się, że tamże ukrył się chorąży z żołnierzami; nie chciał jednak zdradzić swego szefa i towarzyszów, choć na wspomnienie Łabunia żegnał się po kilkakrotnie i wzdychał serdecznie.

Znużony daremnem poszukiwaniem dał znać major pułkownikowi, że nie znalazł nigdzie żołnierzy, prócz dwóch trębaczów i doboszów, których mu posłał otoczonych strażą, sam zaś wstąpił jeszcze do pałacu i udał się wprost na balkon, do księcia Marcina.

— Przychodzę z doniesieniem w. ks. mości, jako ukończyłem już rewizję, znalazłem zaś tylko trębaczów i doboszów, których odstawiłem pułkownikowi, ordynans bowiem mojego szefa opiewa, ażebym zabrał wszystkich ludzi, jakiejbądź kondycji, którzy do Lubarskiej należą załogi. Spełniłem więc moją powinność, a teraz mam honor oświadczyć w. ks. mości że chętnie służyć mu jestem gotów i stawię się w oznaczonem miejscu, skoro tylko odprowadzę moich ludzi do Cudnowa i złożę raport wojewodzie Stępkowskiemu w Łabuniu.

— Widzę, że jesteś wacpan honorowym człowiekiem i że chcesz wynagrodzić afront zadany mojej osobie, więc od dziś za tydzień oczekiwać będę wacpana pod pierwszą karczmą za miastem, na drodze wiodącéj do Cudnowa; imcipan Jan Hryniewicki będzie mym sekundantem, każdy z nas weźmie pałasz i parę pistoletów, zresztą o wybór broni i inne warunki ułożymy się na miejscu. To powiedziawszy uścisnął ks. Marcin za rękę majora Wielowiejskiego, który wkrótce wyruszył z pałacu wraz z całą gromadą żołnierzy, następnie złożył raport pułkownikowi, poczem każdy z dowódców kazał zatrąbić do marszu i właściwą z powrotem udali się drogą.

Tymczasem chorąży Trębalski spuściwszy się z żołnierzami do potajemnego lochu, z wielką oczekiwał niespokojnością do późnéj nocy, aż otrzyma pożądaną wiadomość, że wojska już odstąpiły od Lubaru i że bez narażenia się na niebezpieczeństwo może wydostać się z téj kryjowki. Uwolniony z ciemnicy tryumfował chorąży, że wybieg jego udał się tak wybornie, to też kiedy zafrasowany książę udał się wraz z gościem na spoczynek, on z dawnym towarzyszem kamerdynerem Trojanowskim zabral się ochoczo do butelki, którą porzucili dopiero nad ranem, mając głowę dobrze już ociężałą i zabałamuconą.

XXXVIII.

Ks. Marcin uniknął niebezpieczeństwa w pojedynku z majorem Wielowiejskim, ranił bowiem przeciwnika lekko w ramię, poczem przeprosili się i uściskali serdecznie.

W kilka tygodni po opisanych powyżéj wypadkach, zrzekł się książę na rzecz wierzycieli dziedzictwa Lubaru, jednocześnie zapadł wyrok Trybunału Lubelskiego względem sprzedaży dóbr ziemskich Podskarbiego w. kor. i spłacenia licznych kredytorów. Jak wspomnieliśmy już wyżéj, Adam Poniński nabywał różnemi czasy dobra ks. Marcina, z warunkiem wypłaty długów wierzycielom, których jednak nie myślał zaspakajać wcale, dopóki nie odkryło się jego bankructwo i sąd niezawyrokował w téj sprawie. Z wielu względów, ks. Marcin nie chciał, dłużéj utrzymywać się przy dziedzictwie Lubaru; najprzód, nękały go różne procesa, które prócz kłopotów znaczne pociągały wydatki, powtóre majątek ten stosownie do wartości, nader szczupły przynosił mu dochód, z powodu złego zarządu, nakoniec przyzwyczajony do hucżliwego i światowego życia, nudził się książę w Lubarze, zwłaszcza w chwili, w któréj opuszczony przez dawnych przyjacioł i sąsiadów pędził czas samotnie, w towarzystwie tylko Jana Hryniewieckiego, który jedynym był jego gościem i doradzcą. Oto były główne przyczyny, jako też chęć mieszkania w Warszawie i zarządzania publicznemi widowiskami, która skłoniła ks. Marcina do wyrzeczenia się Lubaru i powrotu do stolicy; uwolnił się tym sposobem od wielkich kłopotów i procesów, od prześladowań Wojewody Stępkowskiego, z którym, dla zakończenia wszelkich sporów, postanowił nawet wejść w dobrowolną ugodę i przystawał na rozwód z jego córką. Wróciwszy do Warszawy zamierzył ks. Marcin objąć znów po raz drugi dyrekcję teatru, którą z powodu kłopotów pieniężnych i prawnych, po

powrocie z zagranicy w obce oddał ręce, oswobodziwszy się zaś od wszelkich postronnych zatrudnień, wszedł znów w układy z przedsiębiercami, którzy tem chętniéj odstąpili mu swego prawa, kiedy scena warszawska na początku 1785 r. zamknięta została z powodu nagłego wyjazdu zagranicznych śpiewaków i aktorów. Jedna tylko panna Tamburini włoszka, znajoma nasza z Oehringen, wielka faworyta ks. Marcina, niechciała wcale opuszczać Warszawy, jakoż mnóstwo miała wielbicieli i nieposledniem cieszyła się powodzeniem.

Natychmiast po objęciu dyrekcji teatru wyjechał ks. Marcin do Gdańska, zkąd sprowadził polskich aktorów do komedji; w powrocie wstąpił do Poznania, gdzie zamówił kilku zdolnych muzykantów do kapeli, następnie za pośrednictwem zagranicznych swych przyjaciół ściągnął włoskich śpiewaków do opery. Oprócz tak zwanéj narodowéj sceny, był jeszcze teatr dworski, którego zarząd oddał król w ręce ks. Marcina, z pensją roczną 12,000 złp. Skoro nowy dyrektor wrócił z podróży i przywiózł z sobą aktorów, zajął się też ulepszeniem królewskiego teatru, który znajdował się w Łazienkach, następnie przełożył Stanisławowi Augustowi, że wypada przenieść teatr do innego domu, ponieważ dotychczasowe pomieszczenie okazało się za szczupłe i niewygodne, w skutku tego powziął król myśl wystawienia pomarańczarni, w któréj miano urządzić dworską scenę. W przeciągu całego roku nowy dyrektor widowisk okazał niepospolitą czynność w urządzaniu teatru, balów, koncertów i t. p., przez cały ciąg lata dawał muzykalne koncerta w Łazienkach królewskich i w różnych ogrodach miejskich, kapela księcia była wyborna i składała się z kilkudziesięciu ludzi; z początkiem miesiąca października otworzył bale maskowe w pałacu Radziwiłłowskim, których cenę wejścia zredukował z pięciu do dwóch złp.

Nie dłużéj jednak jak rok jeden zarządzał ks. Marcin narodową sceną, znudzony ustawicznemi kłopotami z zagranicznemi aktorami, którzy przywyknąwszy do koczującego życia nie chcieli długo na jednem pozostawać miejscu, zwłaszcza kiedy gdzie indziéj korzystniejsze podawano im warunki, zrzekł się znów swego prawa, na korzyść uprzywilijowanego przedsiębiercy Ryxa starosty Piaseczyńskiego, który w końcu maja 1786 r. wypuścił teatr i reduty na mocy sześcioletniego kontraktu dwom obywatelom miasta Warszawy Rafałowiczowi i Dekertowi za kwotę 80,000 złp. Książe pozostał przy swéj kapeli, z którą dawał koncerta w ogrodach, przy czem letnią porą urządzał publiczne zabawy, fajerwerki illuminacje i t, p. Tak przepędził dwa lata w Warszawie, ale gwałtowny jego i chciwy przygód umysł nie mógł długo wytrwać w jakim bądź zawodzie, miał on jeszcze wielu przyjaciół za granicą, którzy ustawicznie rożne nasuwali mu projekta, pomiędzy temi, Schatz, dawny ajent ks. Marcina z czasów konfederacji przyzywał go do Niemiec, mianowicie do Frankfurtu, gdzie łudził go nadzieją bogatego ożenienia z niejaką baronową rozwódką, którą poznał nasz bohater w czasie swéj ostatniéj podróży. Ks. Marcin, jakkolwiek liczył już około lat pięćdziesięciu wieku, dziwne miał szczęście do płci pięknéj, o czem świadczą wymownie liczne romansowe korespondencje, które odbierał z różnych stron kraju i zagranicy, jak od znanéj nam hrabiny Walbergowéj z Oehringen, która długo łudziła się nadzieją, że wytrwałością zdobędzie miłość księcia, aż nakoniec czas i zupełna obojętność ubóstwianego przedmiotu wyleczyła ją z szału, który sądząc z listów ówczesnych i tysiącznych przygód, był powszechną chorobą epoki.

W lecie 1787 r. ks. Marcin oswoił się już zupełnie z myślą porzucenia swego zawodu i wyjazdu z kraju....,. lubił wprawdzie namiętnie teatr, muzykę i zabawy, ale nie był zaślepiony tak wielce, ażeby nie czuł upokorzenia, skoro wspomniał na dawne stanowisko i stosunki; dręczyła go od czasu do czasu myśl utraconego majątku i zawiedzionych nadziei..... Skoro zbliżał się czas walnego sejmu, na którym ważne miano przeprowadzać uchwały, czytał różne broszury i pisma, a widząc ogólny popęd do życia myśli i czynu, bolał srodze nad losem, który ubezwładnił go w politycznem znaczeniu i w zupełną pogrążył nicość.

Na początku tegoż roku wydał książe manifest do wszystkich swych wierzycieli, w którym wzywa ich, ażeby się stawili na kondescensji zjazdowéj w Cudnowie, która ustanowioną została z mocy wyroku Trybunału Lubelskiego, dla porachunku i wypłaty długów. Następnie przygotowywał się do podróży, rozpuścił swą kapelę, zaprzestał uczęszczać do zamku, zerwał dawne stosunki i jak największą otoczył się tajemnicą. Mieszkał ks. Marcin, jak dawniéj w dworku własnym przy ulicy Zielnéj, cały dzień przepędzał na czytaniu książek, korespondencji zagranicznych i pisaniu listów; wieczorem około godziny 7éj wychodził na miasto, a w téj porze odwiedzał zazwyczaj znaną nam śpiewaczkę włoszkę, która mieszkała na ulicy Podwal, niedaleko pałacu kasztelanowéj krakowskiéj.

Włoszka zajmowała całe drugie piętro kamienicy, pokój bawialny jéj mieszkania umeblowany był skromnie, ale z artystycznym wdziękiem, ściany były zawieszone obrazami, na oknach i pod oknami stały donice z kwiatami, na suficie był wymalowany Kupido z kołczanem i strzałami.

Śpiewaczka nie przyjmowała wieczorem nikogo prócz ks. Marcina, wielkie też było jego zdziwienie, kiedy pewnego razu wszedł do jéj mieszkania i spostrzegł siedzącego obok niéj na sofie mężczyznę. Aktorka zerwała się szybko z siedzenia, pobiegła na przeciw księcia i zawołała z usmiechem; pewno niespodziewałeś się książe spotkać u mnie tak rzadkiego i kochanego

gościa...,.. bo dobrze wiadomo jest w. ks. mości, że jego niegdyś Marszałek, a mój dawny towarzysz więzienia z Oehringen, od czasu przyjazdu z zagranicy do Warszawy, nie odwiedził mię ani jednego razu;— spotkałam go dziś przypadkiem księcia i śmiałością włoszki, stał z głową spuszczoną jak winowajca, nie wyrzekł ani jednego słowa i dopiero na pozdrowienie ks. Marcina odpowiedział ukłonem.

— Dobrze się stało, że Imćpanna Tambu-



(Patrz str. 285).

na ulicy i zmusiłam ażeby wieczór ten przepędził z nami. Wymawiałam mu że zapomina o swéj przyjaciołce i dawnym szefie, przepraszał mię i obiecał poprawę. To powiedziawszy głośno rozśmiała się aktorka, kiedy gość ów, kapitan Turski zmięszany widokiem

rini ściągnęła cię kapitanie, bo mam do pomówienia z wacpanem w pewnym ważnym interesie, spodziewam się zaś, że się nie gniewasz na mnie, owszem że nie przestałeś być mym przyjacielem, chociaż rozstałeś się ze mną.

— Mówiłem już w. ks. mości, skoro dziękowałem za służbę, że pamiętną mi jest zawsze łaska ś. p. Jego stryja Franciszka dla mnie, jakoteż dobrodziejstwa świadczone w domu Lubomirskich ś. p. ojcu i dziadowi memu, to pisałem list do ciebie, prosząc ażebyś dla pomówienia ze mną przyjechał do Warszawy, ale zapewne znajdowałeś się w tym czasie w podróży i nie odebrałeś tego listu.

— Tak jest, nie odebrałem listu, ale gotów



(Patrz str. 285).

też jeszcze po raz drugi upewniam w. ks. mość, że w każdéj chwili może rachować na mnie i że nie okażę się niewdzięcznym owych łask i dobrodziejstw.

— Pewny byłem kapitanie że gwoli méj bie wyś wiadczysz mi pewną usługę, więc jestem teraz do spełnienia w. ks. mości rozkazów.

— „Na rozkaz ale prośba rzekł z uśmiechem ks. Marcin“ o któréj pomówimy poźniéj, teraz zaś powiedz mi co słychać w naszych wołyńskich stronach i czy zamyślasz osiąść

tam na zawsze, czy też może zamieszkasz w Warszawie?

— Wiele nowych a niespodziewanych rozgłaszają u nas wieści, a ta jest najpryncypalniejszą ze wszystkich, że stary Wojewoda Stempkoski zamyśla o ożenieniu się z ogromnie bogatą wdową, bo z Imćpanią Chodkiewiczową starościną Żmudzką.

— Jakto z Imćpanią Chodkiewiczową? ciekawy też jestem co na to mówi zięć jéj ks. Aleksander Lubomirski?

— Rozumie się, że książe Aleksander nie patrzy mile na te konkury wojewody, widzi bowiem oczewisty zamach na fortunę wdowy, więc zżyma się na Stempkowskiego i stara mu się przeszkodzić wszelkiemi siłami.

— A cóż mówią o moim rozwodzie z Honoratą i o konkurach kasztelana Buskiego?

— Mówią że w. ks. mość potępujesz rozumnie, skoro próżnego zrzekasz się kłopotu i niechcesz przeszkadzać więcéj ojcu i córce w ich matrymonjalnych projektach. Niedaleko pada jabłko od jabłoni, mówi stare przysłowie, to też córka krok w krok idzie za ojcem, zastawia sidła na kasztelana i pewna już jest swego zwycięztwa, kiedy pan ojciec szturm przypuszcza do fortuny wdowy.

— Tak jest, nie chcę im w niczem przeszkadzać, a nawet swobodniejszym czuję się teraz, skoro zerwałem zupełnie stosunki z tym nieprzyjacielskim domem. Ale wracając się do drugiego pytania, powiedz mi kapitanie czy nie zamyślasz osiąść w Warszawie, bo w takim razie miałbym do ciebie jedną szczególną prośbę.

— Przyjechałem do Warszawy z dawnym przyjacielem moim skarbnikiem Łuckim, a niewiem jak długi przeciąg czasu zabawić mi tu wypadnie, zatrzymuje mnie w stolicy interes spadku po krewnym moim ś. p. Franciszku Turskim, który umierając zapisał mi dwie kamienice. Stale nie zamierzam mieszkać w Warszawie; nawłóczywszy się już dość po świecie, chciałbym odpocząć na starość, więc skoro ukończę mój interes, wezmę wioskę w dzierżawę w sąsiedztwie przyjaciela mego, gdzie spokojnie będę oczekiwać ostatniéj godziny tego mizernego żywota.

— Widzę, że posmutniałeś mi kapitanie okrutnie, skoro tak mówisz żałośnie jakobyś śmierć miał już przed oczami, a ja wcale inne projekta miałem dla wacpana, ten zaś jest najprzedniejszy, że chciałem poruczyć twojéj opiece dawną towarzyszkę naszą, Imćpannę Tamburini, przez czas mego wyjazdu za granicę.

Włoszka usłyszawszy te słowa pochwyciła za rękę ks. Marcina i zawołała: Nie wyjeżdżaj, nie opuszczaj mię kochany książe, albo dozwól, że będę ci towarzyszyć w podróży!

Książe spojrzał czule na śpiewaczkę, kapitan zmieszany był widocznie podaną mu propozycją i namyślał się nad odpowiedzią, odchrząknąwszy zaś parę razy rzekł stanowczym głosem:

Stary już jestem j. o. książe i niezdolny wcale do téj opieki, nie zapomnę nigdy z przeproszeniem w. ks. mości pobytu mojego w Oehringen i jako nie mogłem uspokoić gniewu grafowy Walbergowéj, która czując się obrażoną niewymownie, skierowała ku mnie pociski swéj jadowitéj złości, a nawet przyczyniła się niewątpliwie do podłego traktamentu, którego doznałem ze strony niemców.

„Niewdzięcznik! rzekła półgłosem włoszka“ zapomniał już jako starałam się uśmierzyć jego gwałtowną rozpacz i wlać w jego serce otuchę, kiedy oddzielona od niego ścianą, siedziałam zamknięta w ciemnéj celi niemieckiego aresztu. Nie opuszczaj mię, nie odjeżdżaj miły książe!

Kapitan dosłyszał wyraz „niewdzięcznik“ potarł ręką czoło i rzekł donośnym głosem; wyznaję że niespodziewałem się usłyszeć ten zarzut z ust waćpanny, obowiązany jéj byłem wprawdzie za jéj wesoły humor, którym zabawiała mię nieraz pod koniec naszego aresztu, kiedy melancholja i desperacja napastowała mię srodze, starałem się też odwdzięczyć za to, okazując wszelką troskliwość względem jéj wygód i zdrowia, w czasie długiéj podróży naszéj z Oehringen do Warszawy: nie mogę jednak zapomnieć fochów, lamentów a wyrzekań srogich, któremi traktowany byłem tak często przez czas pobytu w gospodzie, jakoteż na początku owego niefortunnego aresztu, że już nie wspomnę o innych kłopotach, które z owéj białogłowskiéj opieki na moją biedną zwaliły się głowę.........

„Jesteś okrutnym impertynentem kapitanie!“ zawołała z iskrzącemi oczami włoszka, poczem załamując ręce z wyrazem udanéj, teatralnéj rozpaczy spojrzała się na ks. Marcina, który zmiarkował, że niepotrzebnie wywołał tę dramatyczną scenę, więc uścisnął za rękę śpiewaczkę i rzekł: „do widzenia, jutro przyjdę z pożegnaniem i pomówię dłużéj z wacpanną, dziś zaś muszę wcześnie powrócić do domu, bo mój dawny sługa i przyjaciel Jan Hryniewiecki przyjechał w ważnym interesie do mnie i oczekuje w mojem mieszkaniu“.

To powiedziawszy skinął ręką na Turskiego, który pożegnał ukłonem włoszkę i wyszedł wraz z nim z komnaty. Kiedy byli na schodach rzekł ks. Marcin do kapitana:

— Nie spodziewałem się, że tak okażesz się wacpan niedyskretnym dla damy, z którą przed chwilą rozmawiałeś tak grzecznie i w najlepszéj byłeś komitywie; myślałem nawet że chętnie przyjmiesz mą propozycję i nie pogardzisz przyjaźnią włoszki, która ma zawsze humor wyborny i istnie czarodziejskie oczy.

— Znam ją dobrze j. o. książe, nieraz już odżegnywałem tę pokusę, a zaklątem się po-

wróciwszy do Warszawy, że nogą niepostanę u téj włoszki, dziś zaś złamałem to zaklęcie, na usilne jéj prośby i z chęci spotkania się z w. ks. moścą, słyszałem już bowiem o projektowanym jego wyjeździe za granicę.

— Kto ci mówił kapitanie o mym projekcie?

— Niepamiętam, ale słyszałem już o tem bawiąc jeszcze na wsi, tu zaś dowiedziałem się w Warszawie że porzuciłeś już książe dyrekcją widowisk i rozpuściłeś kapelę.......

— Tak jest, gotów już jestem do podróży i za dni parę opuszczę niezawodnie Warszawę; dziś niewiem jeszcze jak długo potrwa ta moja podróż, ani też gdzie ostatecznie zatrzymam kroki, wiem tylko że nie mam nic do czynienia w ojczystym kraju, pójdę więc w świat szeroki, by znaleść odmianę losu, chociaż niezadługo grób napotkać mogę w obcéj cudzoziemskiéj ziemi, ale świadczę się Bogieu, że pragnąłbym gorąco w ojczyznie zamknąć powieki........

— Czemuż miałbyś w. ks. mość porzucać na zawsze kraj rodzinny, jeżeli to z jego nie zgadza się życzeniem?

— Nie mogę dłużéj mieszkać tu kapitanie, straciłem wszystko wraz z majątkiem, dobre imie i znaczenie, dawni przyjaciele opuścili mię haniebnie, a niektórzy z nich stanęli nawet w szeregach mych wrogów i najniegodziwsze rzucają na mnie potwarze. Tak jest, za fortuną w ślad idzie miłość ludzka, dobra opinija i sława, z fortuną zaś przepada wszystko!..... Pojutrze wyjeżdżam za granicę, osiądę w Niemczech we Frankfurcie, zrywam już odtąd wszelkie stosunki z krewnemi i dawnemi przyjaciołmi memi, ale wiem że zatęschnię nieraz do rodzinnego kraju, bo wyznam ci szczerze kapitanie, jak przed księdzem na spowiedzi, broiłem nieraz w mem życiu, ale nie byłem nigdy wyrodnym synem téj ziemi, któréj los obchodzi mię tak serdecznie. i nie mogę pomyśleć bez żalu, że opuszczam kraj w chwili, w któréj ważne gotują się odmiany. Proszę cię kapitanie i zaklinam na dawną znajomość pisuj do mnie z Warszawy i donoś mi o wypadkach i szczegółach, których nie znajdę w drukowanych gazetach, a które dotyczeć się będą publicznéj sprawy.

— Postaram się spełnić życzenie w. ks. mości, nie zaniedbam poinformować go o wszystkiém, o czem tylko dokładną będę mógł powziąść wiadomość......

Skoro tak rozmawiając doszli do dworku ks. Marcina, przy ulicy Zielnéj, exkapitan pożegnał dawnego szefa, który wszedł do mieszkania swego na pierwsze piętro, gdzie zastał oczekującego już w gabinecie Jana Hryniewieckiego.

— Cieszę się mocno że zastaję jeszcze w mym domu wacpana, ponieważ mogę mu już udzielić ostateczną moją decyzję...... Wczoraj wieczorem odebrałem listy z Frankfurtu, w których donoszą mi znajomi, że oczekują z niecierpliwością mego przyjazdu, dziś zaś zrana zakończyłem interesa moje pomyślnie, mianowicie co do Lubaru. który jak pragnąłem tego gorąco, stanie się własnością mych krewnych. Nic mi teraz nie stoi na przeszkodzie do zamierzonego wyjazdu, pojutrze wyruszam więc za granicę, pożegnawszy serdecznie wacpana, jak przyjaciela i brata, bo okazałeś się przyjacielem mym aż do końca, jak niegdyś wiernym byłeś sługą. Smutno mi wprawdzie rozstawać się z tobą Janie, bo przypominasz mi młode lata, dwór ojca w Janowcu i w Połonnem, gdzie razem jeździliśmy konno i różne płatali figle, było też w duszy wtenczas tak swobodnie i wesoło, a choć troska czasem osiadła na czole, to pierzchała prędko, jak chmura przed słonkiem. Oj, dobre to były czasy i żal wspomnieć że minęły już niepowrotnie.........

Kiedy tak mówił książe z uczuciem patrząc na twarz starego sługi, jego też oczy łzami zabiegły, a ruszając smutnie głową rzekł do dawnego pana:

I ja też żałuję téj przeszłości serdecznie, choć miałem dużo zgryzot w młodych latach, boć pan ojciec surowie się ze mną obchodził, a nikt nie użalił się nademną, jeno ty mój najukochańszy książe, więc jako przysiągłem wam onemi czasy, że niezapomnę nigdy téj łaski, a odsługiwać będę aż do grobu, dozwólcie miły panie, bym mógł towarzyszyć wam w podróży, nie pogardzajcie dawnym wiernym waszym sługą!

— Co słyszę? chcesz mi towarzyszyć bracie i ofiarujesz usługi, kiedy wszyscy mię opuszczają, nie wyłączając dawnych najlepszych przyjaciół, którzy wraz z kołem zmiennéj fortuny odwrócili się odemnie....... Przyjmuję z wdzięcznością twoją usługę, ale jakże zdołasz w tak prędkim czasie przygotować się do podróży? wszak wiem że trzymasz wieś w dzierżawie, musisz więc pierwéj ułożyć interesa, bo niepozwoliłbym na to nigdy, ażebyś dla przyjaźni mojéj własną nadwerężył fortunę.

— Proszę tylko w. ks. mości o kilka dni zwłoki, a interes z dzierżawą zakończę niebawem, skoro bowiem usłyszałem o zamierzonym jego wyjeździe, ułożyłem się z moim siostrzanem, któremu oddam dzierżawę, poczem stawię się na usługi w. ks. mości.

— Bóg zapłać wacpanu za ten affekt ku mnie, ale niechcąc sprawiać ci zawodu, winien cię jestem uprzedzić, że mylisz się i oszukujesz srodze, skoro spodziewasz się znaleść ze mną jaki wielki los za granicą, bo wyznam ci szczerze, że puszczam się w świat szeroki, jako ów żeglarz na morze, który nie wie dokąd, lub do jakiego zawinie portu.

— Wszystko mi jedno książe, nie troszczę się o to wcale gdzie dalej los mię zaniesie, bylebym był przy twoim boku. Nie mam żony ani dziecka, nie zdolny jestem do pióra

ani do żadnéj oratorskiéj szermierki, mógłbym jeno szablą usłużyć krajowi, ale dopóki ku temu nie zdarzy się okazja, nie mogę lepiéj rozdysponować mym czasem, jak ofiarując go na usługi w. ks. mości, mego dawnego pryncypała i łaskawcy, który w młodych moich latach tyle wyświadczył mi dobrodziejstw.

— Bóg ci zapłać bracie miły! zawołał z rozrzewnieniem ks. Marcin przyciskając dawnego sługę do serca.

Jan Hryniewiecki żegnał już księcia i zabierał się do odejścia, ale nagle zatrzymał się na progu, a uderzywszy się ręką w czoło, rzekł:

— „Rozmowa z w. ks. mością pozbawiła mię całkiem pamięci, gotów byłem nie oddać wcale listu, który mi dziś doręczył dawny towarzysz broni, z chorągwi księcia wojewody Wileńskiego. Oficer ów przyjechał niedawno z Wilna i przywiózł pismo pewnego księdza z adresem w. ks. mości". To powiedziawszy wyjął Jan Hryniewiecki rzeczony list z kieszeni i oddał ks. Marcinowi, poczem pożegnał go ukłonem i wyszedł z komnaty. Książe rozłamał pieczęć i czytał następujące słowa:

„Siostra Klara z klasztoru panien Benedyktynek Wileńskich, niegdyś Anna Wyleżyńska, córka Cześnika, przepędziwszy bogobojnie lat dwadzieścia pięć w professji zakonnéj, w d. 1 marca 1787 r. zakończyla świątobliwy żywot; na trzy dni przed śmiercią uczyniła spowiedź powszechną przedemną kapelanem rzeczonego klasztoru, poczem między innemi pobożnemi zleceniami prosiła mię, ażebym doniósł w. ks. mości, że posела mu ostatnie przedśmiertne błogosławieństwo, jako dawnemu znajomemu i przyjacielowi, a uprasza go wzajemnie o częste westchnienie za jéj duszę.... Przyrzekłem wypełnić zlecenie umierającéj, przeto mam honor zakomunikować w. ks. mości.

pokorny sługa
Ks. Onufry z Zakonu braci mniejszych ś. Franciszka.

Wiadomość o skonie dziewicy, która go w młodocianych latach pierwszą, głęboką natchnęła miłością, wyrażone w tym liście ostatnie błogosławieństwo umierającéj, silnie wstrząsnęło umysłem Marcina, obudziło najżywszą niegdyś strunę jego serca; to też pod wpływem wzruszenia drżał głos jego kiedy czytał listu słowa, oczy łzą zabiegły, twarz śmiertelną pokryła się boleścią, w końcu załamał ręce i zawołał: niezapomniala o mnie przez dwadzieścia pięć lat klasztornego życia, niezapomniała w godzinę śmierci i przesłała mi błogosławieństwo! To powiedziawszy, zwiesił książe głowę na piersi, z ponurym, w ziemię zatopionym wzrokiem, z wyrazem bólu i zgryzoty na twarzy.

W dwa tygodnie po opisanych wyżéj wypadkach, ks. Marcin Lubomirski wyjechał z Warszawy, w towarzystwie Jana Hryniewieckiego; bawił czas pewien w Poznaniu, w Berlinie, następnie osiadł w Frankfurcie. Odtąd urywa się wątek opowiadania, z powodu braku szczegółów dalszego jego życia, o którem różne a często najsprzeczniejsze podają wieści; to jednak nie podlega wątpliwości, że awanturniczy książe doswiadczał różnych jeszcze przygód, a prawdopodobnie był jednym z najgorliwszych zwolenników sławnego naczelnika sekty, Józefa Franka, w wiadomości bowiem zamieszczonéj w Gazecie narodowéj i obcéj o śmierci i pogrzebie w Offenbach tegoż sekciarza, czytamy, że w czasie żałobnego konduktu, za ciałem zmarłego postępował z lewéj strony książe M. L. w orderze ś́go Huberta, w gronie innych dystyngowanych osób. Oprócz rzeczonéj wiadomości, przytaczane szczegóły z dalszego życia księcia, jako to o trzeciéj jego żonie, córce Franka, i o czwartéj niewiadomego pochodzenia, nie stwierdzone żadnemi dowodami, zaledwie zasługują na wzmiankę, Wielce ciekawą byłaby wiadomość o stosunkach naszego bohatera z Frankiem, postać bowiem tego założyciela sekty, dotychczas jest osłoniona mgłą tajemniczą, gdyż posiadamy wiele szczegółów z jego życia, ale cała treść nauki, owe ukryte sprężyny, za pomocą których jednał tysiące zwolenników, dotąd są nam nieznane.

W zakończeniu, możemy dorzucić jeszcze słów kilka, co do losu ks. Marcina jego żon i córki. Umarł on w jednym z folwarków dawnego swego Kolbuszowskiego majątku, opuszczony od przyjaciół i krewnych; cierpiał wielki niedostatek przed skonem, w korespondencjach z lat ostatnich pozostawił jedną cechującą go zaletę; nie wygasła w nim iskra obywatelskiego poczucia i los kraju obchodził go zawsze gorąco. Pierwsza żona Marcina, Anna Hadikówna mieszkała i umarła w Galicji, jedyna ich córka Franciszka wyszła za mąż za Jerzego Tyszkiewicza, owocem tego małżeństwa był syn Wincenty zmarły w 1856 r. w Poznąniu; po dziś dzień krąży wieść o trągicznym wypadku śmierci Franciszki, którą syn nieszczęśliwym trafem zastrzelił.

Druga żoną ks. Marcina Honorata Stępkowska, wkrótce po jego wyjeździe do Niemiec, bo w r. 1788, otrzymała rozwód i weszłą w powtórne związki małżeńskie z Załuskim kąsztelanem Buskim.

CO DZIŚ ZROBIĘ?

Kilka uwag z powodu dwóch obrazków.

Są dwa wybitne prądy, któremi upływa życie ludzkie; uciecha jest hasłem jednego, drugiego pożyteczność. Cały kierunek moralny pojedynczych osobistości, zależy nieraz od pierwszego kroku, jaki na jednéj z tych odrębnych dróg postawią. I człowiek raz porwany wirem życia całkiem wylanego na zewnątrz, już często, choć mu się ono ckliwém wydaje, choć go znuży i rozczaruje, nie umié się zeń wyrwać, aż do grobu. Drugi znów, ktorego praca wytrwała wprzęgła zawczasu w swe jarzmo twarde, a przynoszące jednak z sobą niepojętéj słodyczy zadowolenia, nie umiałby wyłamać się z pod niego.

Jest pewne ogólnikowe wyobrażenie, które nie jednéj nierozważnéj głowie mąci pojęcia, a tém jest powtarzane często: *trzeba używać życia.* Używać, więc szaleć tłomaczą niektórzy, więc tracić czas, jak gdyby w nim nie dość spiesznie znikały jednostki, więc zagłuszać myśl, więc lekceważyć uczucia, otoczyć się fałszywym blaskiem i fałszywym uśmiechem twarz ustroić. Lecz jest w nas sędzia strasznego i nieprzebłaganego majestatu, którego zwykle sumieniem zowiemy, a gdybyśmy mogli zbadać tajemnice jego wyroków na śmiertelném łożu człowieka wydanych, tobyśmy mieli jasny obraz co znaczy używać życia, co je zaprawia goryczą, a co błogim spokojem i pociechą wypełnia?...

Co dziś zrobię?... pyta się światowa kobieta ze snu się zbudziwszy i ziewa już na samo przypomnienie tych ważnych zajęć, które są jednym ciągiem próżniactwa. Więc naprzód, długi czas poświęcony przebieraniu się, potém wymiana złośliwych myśli i podejrzeń z innemi kobietami, potém wymiana słów dźwięcznych bez myśli z mężczyznami, daléj długie godziny poświęcone jedzeniu, bal, przechadzka będące raczéj wystawę strojów i osoby i tak niepostrzeżenie nadchodzi starość groźna, na któréj pociechę ubiegły czas, żadnych nie nagromadził żywiołów. Mężczyzna znów, zobowiązany do jakiego stałego zajęcia, które mu daje utrzymanie, a nie posiadający sumiennego poczucia obowiązków, nie troszczy się bynajmniéj o to co dziś zrobi, ale co *nie zrobi*, jak się wykręci z włożonych na się zobowiązań, jak przemarnuje najwięcéj godzin życia.

Ale zacny człowiek tak mężczyzna jak kobieta, jeżeli u wstępu dnia zapytuje się siebie co ma zrobić, to tylko aby uszykować w ład swe zatrudnienie, żeby każda jego życia godzina przyniosła dla społeczeństwa swój procent pożytku. I tak praca lub nauka, pomoc bliźnim lub uprzyjemnienie im życia wypełniają dzień cały.

Lecz że w życiu po nad prawdą fałsz często góruje, że wielu ludziom nie idzie o to jakiemi są, lecz jakiemi się wydają, że oklepane formułki i ogólnikowe zdania służą niejednemu za prawidło w postępowaniu, więc też niejeden się krząta, ażeby tylko *wydawał się* szczęśliwym, bogatym, wesołym, lub też pracowitym, pobożnym, pożytecznym. Bolesna zaprawdę życia komedja, teatralne łachmany, które tchnienie śmierci przed sumieniem jednostki, a opinja potomnych przed sądem ogółu, w proch rozsypuje. Blichtr szczęścia i świetności to przynajmniéj tylko śmieszne bawidełko w płochych rękach, lecz blichtr cnoty i zasługi to jad sączony w łono społeczeństwa.

Wiadomości Literackie.

Ptaszek Boży (Lady Bird) powieść lady Georginy Fullerton.

Pod tym napisem wyszła jedna z najwięcéj zajmujących książek znanéj angielskiéj powieścio-pisarki, o któréj wiadomość podawaliśmy dawniéj czytelnikom naszym.

W pierwszym rozdziale powieści autorka zapoznaje nas z mieszkańcami starożytnego zamku Lifford-Grange, siedliska możnéj angielskiéj rodziny, stojącéj mężnie przy katolickiéj wierze. Pan na Lifford-Grange zachował wierność przodków dla kościoła, dalekim był jednakże od stosowania życia do ducha jego. Pełen ponuréj rodowéj dumy, niepozwalał nigdy czytać w myśli swéj otaczającym. Żona jego Angustia (1) sierota ze znakomitego hiszpańskiego domu, mimo bogactwa i cudownéj piękności smutną dolą

(1) Angustia znaczy w języku hiszpańskim: bolesny niepokój.

przypominała znaczenie swego nazwiska. Pierwsze dwa lata po ślubie spędziła w Hiszpanji; po przyjściu na świat drugiego dziecięcia, powróciła wraz z mężem do Anglji i niezadługo potém dostała attaku paralitycznego, który na zawsze uczynił ją bezwładną. Nieszczęście to osłabiło jéj pamięć, nienauczyła się przeto angielskiego języka, co utrudniało niezmiernie stosunek jéj z dziećmi. Nieraz gdy igrały w jéj pokoju, oblewała je łzami w serdecznym uścisku, z którego wyrywały się szybko aby powrócić do zabaw swoich. Kto wie czy łzy biednéj matki wraz z modlitwą zasełaną do nieba za ich szczęście, nie chroniły je nieraz w późniejszém życiu od złéj doli. Mąż odwiedzał ją codziennie na chwilę. Zdawało się wtedy, że zawiał do koła pokoju jakiś wiatr mroźny, tak oboje zdawali się pomieszani w obec siebie. Sądziłbyś, że oba te serca zachowują w swéj głębi jakąś tajemnicę, nieznaną nikomu. Trudno było odgadnąć ich wzajemne uczucia. Spokojna powierzchnia mogła pokrywać zarówno przepaść jak wulkan. Późniéj wyjaśnia się, że pan Lifford żeniąc się kochał inną kobietę, która go zdradziła i ztąd zachował na zawsze zimne i ponure usposobienie.

Dzieci państwa Lifford, Edgar i Gertruda niepodobne były zupełnie do siebie. Edgar żywy i miły w obejściu, mimo to przesiąkł arystokratycznemi wyobrażeniami ojca. Gdyby nauki tegoż dobrze były skierowane, wyrobiłyby bezwątpienia w pełném dobroci i szczerości sercu syna, szlachetną dumę, i stare francuzkie przysłowie: szlachectwo obowiązuje (*noblesse oblige*) byłoby dla niego niezawodnie bodźcem do pięknych czynów. Przeciwnie jednak, duch jego karmiony pychą i drobiazgową próżnością, jeżeli niezupełnie przekształcić, to niejako ścieśnić się musiał w swych rozmiarach. Gertruda przeciwnie zupełnie odmienne miała wyobrażenia. Trudno było odgadnąć czy rzeczywiście charakter jéj niedający się powodować tak łatwo, jak charakter brata, był przyczyną jawnéj niechęci okazywanéj jéj na każdym kroku przez ojca. Prawda też, że dziewcze to od lat najmłodszych zdaniami swemi sprzeciwiało się wszystkim pojęciom p. Lifford. Zaledwie Gertruda mówić mogła już niewiedzieć zkąd nauczyła się staréj piosenki poczynającéj od słów: Kiedy Adam kopał ziemię a Ewa przędła wełnę, gdzież ukrywało się szlachectwo? i śpiewała ją stając przed szeregiem wizerunków przodków. Późniéj gdy zaczęła się uczyć, zadawała ojcu najrozmaitsze pytania o wartości rzeczywistéj szlachectwa, na które trudno mu było odpowiedzieć.

Oprócz obojga państwa i ich dzieci, zamieszkiwał jeszcze w zamku Lifford w charakterze kapelana, stryj samego pana wyświęcony na księdza w Hiszpanji, gdzie także czas jakiś zamieszkiwał. „Charakter jego był wierném odbiciem charakteru synowca, złagodzoném jednakże boskiem światłem, którego ogień nie lśni nigdy napróżno, bo niszczy zapory stawiane przewrotnością natury ludzkiéj.“ Nie ulega wątpliwości że kapelan posiadał serce czułe na niedolę, albowiem biedna chora znajdowała w nim jedyną osłodę i podporę, któréj daremnie szukała gdzieindziéj.

Dwoje dzieci bliskiej sąsiadki Lifford-Grange mistress Redmond, to jest córka jéj z pierwszego małżeństwa Mary Grey i pasierb Maurycy, którego kochała jak własnego syna, byli towarzyszami zabaw Gertrudy i Edgara. W zabawach tych Gertruda zawsze rej wiodła; rzadka uroda i bystry rozum sprawiały, że inne dzieci chętnie oddawały jéj nad sobą władzę. Jeżeli np. układali obraz mający przedstawiać dwór królewski z wieńcem na czole plecionym z dzikich kwiatów, niby w koronie, sadzono ją na tronie z darni aby przedstawiała królową. Zwano ją powszechnie *ptaszkiem bożym* od imienia które pewną razą nadał jéj Maurycy gdy pospierawszy się z Marją, zawołała zniecierpliwiona wskazując na owada nieruchomego na listku kwiatowym: Marjo! jesteś podobna do tego głupiego żyjątka. A ty, odparła łagodnie Marja, wskazując świetnego motyla siadającego w tejże chwili na róży, którą trzymała w ręku jéj przyjaciołka, ty jesteś obrazem tego pięknego motyla.

— Nie, zawołał Maurycy, Marja jest pszczołą a Gertruda osą, gotową zawsze do ukąszenia.

Na te słowa Gertruda zalała się łzami, a Maurycy aby uspokoić piękną towarzyszkę, która na niego wielki urok wywierała, nazwał ją wtedy *pięknym ptaszkiem bożym*. Nazwisko to tak przypadało, do charakteru jéj piękności i ułożenia że wkrótce wszystkie dzieci wiejskie spostrzegłszy ją w oddali wołały: a to idzie piękny *ptaszek boży*.

Stosunki przyjazne Gertrudy z dziećmi mistress Redmond były tém poufalsze, że nikt im nie towarzyszył gdy się schodzili w aleach parku, a ojciec ani stryj niewiedzieli nawet że Maurycy równie jak Marja ma udział w tych schadzkach. Tak przeszło dwa lata, poczém Edgara i Maurycego wysłano do szkół i wszystko się zmieniło. Gertruda pozostała zawsze przyjaciołką Marji Grey, lecz nie było już pomiędzy niemi dawnéj serdecznéj poufałości. Marja zresztą miała dużo pracy w domu matki i zajmowała się tamże rzeczami, o których piękny *ptaszek boży* nie miał wyobrażenia i nie rozumiał ich potrzeby. Dalsze opowiadanie wskaże, jakie wypadki wpłynęły późniéj na zbliżenie się dwóch młodych przyjaciołek. Maurycy i Edgar podrosłszy w lata wydalili się ze szkół, pierwszy obdarzony znakomitym muzycznym talentem zyskał protekcję możnego pana hrabiego d'Arberg, który swoim ko-

sztem wyprawił go do Włoch na lat kilka. Pod ten czas artysta był w ciągłéj korrespondencji z Marją, którą uważał za swoją narzeczoną. Marja kochała go z całéj mocy duszy i dzieliła się wrażeniami jego listów z Gertrudą, dla któréj czytanie opowiadań o życiu świata, do którego tęschniła w swéj samotności, było jedyną i najmilszą rozrywką. W listach tych Maurycy obok wyrazów miłości dla Marji, mieścił zawsze wspomnienie chwil spędzonych w dzieciństwie z Gertrudą. Powróciwszy do kraju znalazł tak powabnym *pięknego ptaszka bożego*, że mimowolnie zgasł przy nim urok uczucia dla Marji i pokochał całą siłą Gertrudę. Marja spostrzegłszy stan jego duszy pierw jeszcze, aniżeli sam go rozpoznał, wyrzekła się szczęścia i stanowczo zerwała projektowane dla siebie małżeństwo. Gertruda tymczasem nie domyślając się niczego niejednokrotnie niebaczném słowem rozbudzała jeszcze uczucie, które dla niéj miało się stać źródłem nieszczęścia, pokochała bowiem hrabiego d'Arberg szlachetnego opiekuna młodego artysty i wzajemnie od niego kochana, przyrzekła mu swą rękę. Wypadek ten był pokryty najgłębszą tajemnicą z przyczyny że ojciec miss Lifford, inne dla niéj, świetniejsze obmyślił związki, dogadzające jego dumie rodowéj i układom rodzinnym. Pani Lifford pragnęła szczęścia Gertrudy i w chwili śmierci wyznała mężowi jéj miłość i nadzieje, lecz ten okazał się nieubłaganym i w kilka dni po jéj pogrzebie gdy Edgard i ksiądz Lifford był nieobecnym, chciał zmusić córkę do poślubienia tego którego jéj przeznaczył za męża. Gertruda przywiedziona do rozpaczy, gdyż hrabia d'Arberg był nieobecny i nadto jeszcze fałszywemi dowodami ojciec wmówił w nią przeświadczenie, że ją porzuca, aby przyoblec zakonną suknię, uciekła z Lifford Grange do domku pani Redmond. Nie zastała ani jéj, ani Marji, gdyż obie wyjechały na mieszkanie do Londynu gdzie wkrótce za niemi miał pospieszyć Maurycy. Obłąkany miłością dla Gertrudy, artysta korzysta ze stanu rozpaczy, w którym ją widzi, aby jéj wypowiedzieć miłość swoją i ofiarować rękę. Gertruda słucha go z początku ze wstrętem, lecz w końcu rozpacz na myśl nienawistnego związku z cudzoziemcem narzuconym jéj przez ojca, chęć upokorzenia dumy tegoż i pomsty nad narzeczonym, którego sądziła wiarołomnym, górę wzięła w jéj sercu. Oddała swą rękę Maurycemu i wkrótce oboje przekonali się, że zgotowali sobie najwyższe nieszczęście. Wyjaśniły się podstępy, któremi oddalono od niéj hrabiego d'Arberg, a Maurycy nie mógł sobie przebaczyć, że korzystał z chwili obłędu aby zmusić do zaślubienia siebie kobietę, która nigdy nie mogła odpłacić wzajemnością jego miłości.

Marja tymczasem zajęta pracą i modlitwą żyła cicho, osładzając dni ostatek wiekiem i chorobą znękanéj matce, a hrabia d'Arberg poświęcił się cały na usługi nieszczęśliwych wszelkiego rodzaju, przebolawszy ciężko postępek Gertrudy. Dwa te ostatnie charaktery pełne wiary, spokoju i rezygnacji chrześcjańskiéj, są przeciwstawieniem charakterów Maurycego i Gertrudy nie hamujących w sobie popędów pierwszych wrażeń. Maurycy umiera w końcu żałując za popełnioną winę, a Gertruda któréj spotkanie z ukochanym narzeczonym, dodaje siły do dalszego życia ofiary, dopełniwszy wiernie i mężnie obowiązków swoich względem męża, pozostaje na resztę życia siostrą wszystkich nieszczęśliwych i strapionych, zajmując się przytem wychowaniem jedynego syna, z którym w końcu powraca do domu wybaczającego jéj ojca. Powieść ta wykazująca o ile chrześcjańskie godzenie się z wypadkami życia, wpływa na spokój i szczęście w najtrudniejszych okolicznościach, poprowadzona jest z wielkiém zajęciem, śmiało więc polecić ją możemy w przekonaniu, że uprzyjemni pożytecznie nie jedną chwilę czytelnikom.

Przegląd krakowskich tradycji, legend, nabożeństw, zwyczajów, przysłów i właściwości, oto tytuł nie wielkiéj a bogatéj treścią książeczki, w któréj zaczerpnie historyk i poeta. „Po białych wstęgach gościńców (pisze autor jéj Józef Łepkowski) czerni się lud wszelaki, spiesząc do tych kościołów, co w grobach swoich królów, a na ołtarzach świętych schowały.“ Miło jest i nauczająco, zaprawdę, razem z niemi tę wędrówkę odprawić, śledząc te tradycje, te podania uroku pełne. Czytelnicy mieli już sposobność poznać jeden ustęp z téj pracy w *Kółku domowém*.

Winniśmy tu wspomnieć o uczynionéj w tych czasach odezwie Towarzystwa naukowego kr. w sprawie rozprzedaży odlewów popiersi królów i zabytków starożytnych. Odlewy te z największą ścisłością dokonane, przedają po stosunkowo niewielkiéj cenie, aby ułatwić każdemu ich nabycie i tém przysporzyć Towarzystwu środków materjalnych do rozszerzenia swego działania w podobnych celach.

RYCERZ GALAHOD.

Z Alfreda Tennysona.

Ufam méj włóczni i miecza cięciu,
Włócznia przeszywa, miecz kruszy zbroje,
Ja stanę w boju sam za dziesięciu,
Bo czyste jest serce moje.

Wrzaskliwe trąby hasło już dały,
Szczerbią się twarde miecze na stali,
Lecą i świszczą iglaste strzały,
Jeździec z rumakiem się wali.

Walą się w szrankach w wirowym tanie,
A gdy na chwilę bój się przerywa,
Rzucają kwiaty prześliczne panie,
I wonny deszcz z góry spływa.

O! jak jest słodkie, O! jak urocze,
Oko kochanki, skoro zapłonie,
Ja za cześć niewiast krwawy bój toczę,
Od gwałtów, więzów ich bronię.

Lecz pocałunku nie znam kochania,
Ręki dziewczęcia nie miałem w dłoni,
Bo serce moje poddać się wzbrania,
Bo duch mój za niebem goni.

Gdzie Bóg mię wzywa, gdzie zdrój łask (świeci,
Z sercem dziewicy lekko, radośnie,
Tam duch mój z wiarą, z modlitwą leci,
I potężny wolą rośnie.

Kiedy się księżyc chmurą zakrywa,
Na mnie z gór złote biją promienie,
W ciemny bór potok światłości spływa,
I słyszę w nim hymnów brzmienie.

Skoro pojadę w samotną stronę,
Głos mię z świątyni wita w oddali....
Stalle są próżne, drzwi roztworzone,
Pusto, a lampa się pali.

Cudna bielizna ołtarz pokrywa
A na nim srebrne błyszczą naczynia,
I dzwony dzwonią, woń się rozpływa,
Grzmi wielkim hymnem świątynia.

Często po górach błądząc z wieczora,
W łódź czarodziejską wsiadam i płynę,
Po samotnego fali jeziora,
Płynę już w późną godzinę.

Słodki dźwięk słyszę, patrzę, o dziwy!
Trzéj aniołowie, hostja nad niemi,
Blask od ich czoła bije straszliwy,
Jak sen spływają ku ziemi.

Cudne widzenie, o, mocny Boże.
Duch mój chce wyrwać się z więzów ciała,
Kiedy po ciemném ślizga jeziorze,
Ta najcudniejsza gwiazd chwała.

Nim ranne w mieście uderzą dzwony,
Gdy w śniegu drzemią gmachy, ulice,
Często na białym koniu niesiony,
Pędzę podniosłszy przyłbicę.

Mnie nie ustraszą piorunów groty,
Lecę i dzwonię mieczem i zbroją,
Chmura się w złote mieni namioty,
Deszcz złoty chwałą jest moją.

Pnę się na dzikie skały i wzgórza
Cudowne kształty mam przed oczami,
Wśród pól rozkosznych, choć huczy burza,
Płyną jasnemi falami.

Serce dziewicze nie zna gróźb, męki
Silne w przygodach, niezłomne w boju,
A tchnienie nieba, a niebios dźwięki,
Krzepią mię w burzy i w znoju.

Marzę o szczęściu, co nie umiera,
W blasku żyjących cudnych gwiazd wieńca,
Wonny, lilljowy kraj się otwiera,
Co poi duszę młodzieńca.

Ta zbroja śmierci z sercem i okiem,
Snieżną anioła ręką dotknięta,
Stanie się lekkim, jak sen obłokiem,
Przezrocza i nieujęta.

Na niebie czarne pierzchają chmury,
Cudna harmonją dźwięków kaskada,
Z wysokiéj baszty, z wałów téj góry,
Jak fala rośnie i spada.

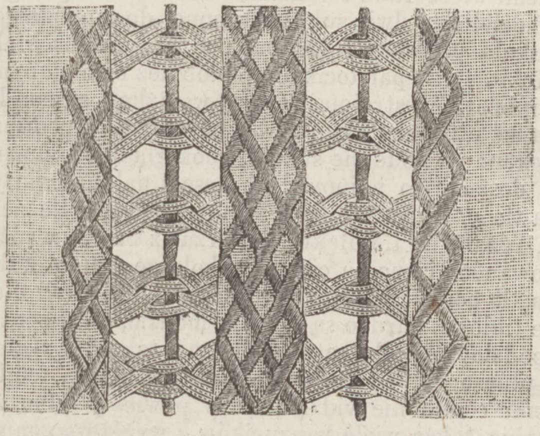
Więc nucą drzewa, wzgórza i jary,
Szeleszczą skrzydła, głos z góry płynie;
Spiesz się rycerzu, Boga i wiary,
Nagroda cię dziś nie minie!

Przebiegam szybko zamki i grody,
Sadzę przez rowy, mosty i wały,
Wciąż pędzę zbrojny, fraszką przeszkody,
Nim znajdę przystań méj chwały.

Wł. Chomętowski.

Dodatek do Zeszytu XVIII Kółka Domowego.

Wstawka płócienna do spódnic.



Wziąść pas rzadkiego płótna szerokości jak na rysunku, długości zaś jak potrzeba do dołu spódnicy. Wyciągnąć poprzeczne nitki na dwa pasy ażurowe wedle rysunku. Zrobić najpierw matowy szlaczek na płótnie, krzyżując według deseniu nitkę grubéj bawełny i dzieląc nią zarazem nitki podłużne, wyciągniętego na szlak ażurowy płótna tak, żeby na każden przedział było nitek po szesnaście. Powtórzyć to samo z obu stron przy jednym i przy drugim ażurowym szlaku, tak jak deseń wskazuje. Gdy ta robota już ukończona przytwierdzić mocno przy początku ażurowego szlaku, w pośrodku, jeszcze grubszą nitkę bawełny zwanéj *Estramadura*; przeplatać igłą oddzielone szesnastonitkowe części w płótnie w ten sposób: Cztery nitki przedostatnie od lewéj ręki przeplatać przez następne, pozostałe od prawéj ręki, oddzielając na splot każden po cztery; ostatnie cztery nitki przepleść przez splot środkowy. Przeciągnąć przymocowaną na początku nitkę bawełny do następnych szesnastu nitek płótna i daléj powtarzać w ten sposób aż do końca szlaku. Robota ta jest nader łatwa i mocna, zupełnie w nowym rodzaju. Oprócz wstawek do spódnic można robić podobne oszycia do alb, komży, obrusów kościelnych poszerzając w kilka rzędów, lub też na węższe wstawki jak np. do kaftaników robiąc po jednym rzędzie.

O UBIORACH.

Paryż dnia 28 Sierpnia 1866 r.

W przyszłym miesiącu dopiero można widzieć mody jesienne, lecz dziś już są przygotowane, więc wspomnimy o tém co o nich słyszeliśmy. Mody z czasów cesarstwa długo nie wyjdą z użycia. Kapelusze zatém wizytowe będą kształtu *empire* tylko z główką jeszcze powiększoną, zastosowaną do objętości warkocza. Rondka za to mieć będą wązkie i niskie, ozdobione bardzo wdzięcznie. Opiszemy tu kilka kapeluszy tego rodzaju, które widzieliśmy w magazynie pani Dufourmantelle, gdzie lepiéj niż gdzieindziéj pojęto wymagania podobnego fasonu. Kapelusz zwany *andaluzyjski*, z czarnéj koronki, miał rondko na przodzie zachodzące w ząb spiczasty *à la Marie Stuart*, z jednego boku podpięty był różą a z drugiego miał, ozdoby czarne dżetowe. Kapelusz *Lamballe* z białego tiulu i blondyny, ozdobiony niebieskim aksamitem i gierlandką z białych drobnych kwiatków, miał dubeltowe szarfy, to jest aksamitne i białe tiulowe, naszywane blondynką. Takiż kapelusz z ozdobami z aksamitu pąsowego. W tymże magazynie są przygotowane śliczne okrągłe kapelusiki do konnéj jazdy, popielate kastorowe, zdobne długiém piórem bażanta, przytrzymywaném srebrnym półksiężycem. Jako okrycia najwięcéj będą używane paletociki

zwane *Peplum* i czarne kaszmirowe wolno puszczane, przystrojone dżetem. Suknie mają być raczéj krótkie niż wlokące, ponieważ to pora podróży w czasy mniéj pogodne. Krynoliny ze względu na niezbyt szerokie i niezbyt długie suknie, które się nosić będą przez całą jesień, muszą być znacznie zmniejszone. Obszerne ogoniaste nie pokażą się, jak wraz z pierwszemi wieczorami i obiadami zimowemi wymagającemi strojnych ubiorów. Widzieliśmy dwie suknie jesienne do mniejszego stroju, które tu opiszemy: Suknia popielata fularowa podniesiona na błękitnéj spódnicy, wstążkami błękitnemi z paletocikiem podobnież ozdobionym. Suknia fularowa srebrno popielata, wystrojona różową wstążką i czarną koronką w kształcie fartuszka na przodzie. Stanik z baskiną ubrany podobnież. Fulary najwięcéj są używane na podobne suknie, obok gładkich można znaleźć wielki ich wybór w deseń. Do najnowszych deseni należą kwiaty głogu w różnych kolorach na tle czarném; piórka jasno zielone na tle zieloném ciemniejszém; pączki różane na tle błękitném; rzut z bratków różno-kolorowych na tle kropkowaném jasno na ciemnym kolorze. Rzut z drobnych białych stokrotek na tle popielatem lub czarném. Staniki czyli bluzki białe muślinowe i czarne tiulowe, bardzo są teraz w modzie, zwłaszcza na ubrania wieczorne niespodziewane lub teatra. Śliczne także przygotowują tego rodzaju staniki z płótna i koronkowych (*Cluny*) wstawek, trudno dać o nich wyobrażenie temu co ich nie widział, więc powiemy tylko, że są bardzo ładne i strojne. Robią także wiele kanzucików z wyżéj wspomnianych materjałów. Koronki są zawsze przedmiotem największéj elegancji, a nowo wynalezione *Monard*, o których już wam wspominaliśmy, nie są tak drogie jak inne, przeto mogą się znajdować nawet w ubiorze osób nie przesadzających się w zbytkach.

Widziałam śliczne chustki podwójne tego rodzaju, które nie kosztowały jak czwartą część ceny koronki *Chantilly*, ubierały również i mogły służyć zarówno w zimie jak w lecie na wieczór, obiad lub wizyty.

Falbany koronkowe równie jak szal kaszmirowy, są niezbędne w eleganckiéj wyprawie. Widzieliśmy również falbany *Monard* niezmiernie bogatego deseniu wcale nie drogie. Robią także z koronki tego rodzaju burnusy, talmy, rotondy, kanzuciki i barby lub chusteczki na głowę. Koronki te nie przeszkadzają jednakże gipiurom ręcznym, które zawsze niezmiernie są używane. Widziałam kilka ładnych ubiorów dziecinnych, które wam także opiszę. Sukienka jasna, popelinowa popielata, była wygarnirowana czarną wstążeczką; garnirowanie to tworzyło niby wystrój drugiéj spódnicy. Kapelusik okrągły popielaty otoczony był wieńcem błękitnych niezapominajek. Druga sukienka w dzikim jasnym kolorze, była wystrojona podobnież szkocką, w kraty jaskrawe, popeliną. Kapelusik do niéj tegoż koloru, zdobiły piórka białe. Co do ubiorów małych chłopczyków nic jeszcze wyrzec nie mogę. lecz skoro już będą gotowe ubrania, które dla nich przygotowują na jesienną porę, nieomieszkam wam ich opisać.

M. D.

Zakładanie i pielęgnowanie ogrodów owocowych.

Miejsce na ogród owocowy, najlepsze jest na małém wzgórzu lub równinie, zasłonionéj od wiatrów północnych zabudowaniami lub drzewami, wystawę mieć powinno ku wschodowi jeżeli można, bo ku południowi same-



KÓŁKO DOMOWE

Październik 1866 r.